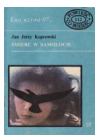


- Autor: **Koprowski Jan Jerzy**
- Tytuł: **Śmierć w samolocie**
- Wydawnictwo: Iskry
- Seria: Ewa wzywa 07
- Zeszyt nr 112
- Rok wydania: 1979
- Recenzent: [Wiesław Kot](#)
- Recenzja: 14/2013

[LINK Recenzja Ewy Helleńskiej](#)



Restauracja w Albanii, w Bułgarii. Dla lepszych gości ("Tylko lepsi piją pepsi" - mawiało się w tych złotych dekadach). Niejacy Hans i Mario knują nad Morzem Czarnym na szkodę ludowego państwa polskiego. W tle wielkie pieniądze, oczywiście podsyłane przez CIA i jej europejskie odpowiedniki. Skutkiem tych rozmów pewna Krystyna, trzydziestoletnia szatynka z handlu zagranicznego, stygnie ostatecznie w samolocie wiozącym urlopowiczów do Warszawy. To owa tytułowa "śmierć w samolocie". Romans czy szpiegostwo? W każdym razie w tle pojawia się Niemiec, który chętnie mówi o "mściwej żonie, która go trzyma w szachu przy pomocy teścia". Chwył niby zgrany, ale zawsze działa. I jest jak zwykle. Naiwna gąska z Polski poznaje na wczasach cudownego faceta z Zachodu. On na nią bezgranicznie leci i już, już mają się złączyć na wieki, ale tylko jeszcze ten drobiazg w postaci takiej tam przysługi... I zaczyna się szpiegowska polka. Na styku z romansem. A w powieści - kryminalnej! - romans obejmuje, niestety, wiwsekcja. Mozolne odgrzewanie, szczególnie po szczególnie, ostatniego dnia pobytu inkryminowanej szatynki w Bułgarii. Sprawozdawczość i jeszcze raz sprawozdawczość. Ze szkodą dla akcji, która jest tu ciągnięta za włosy. Czysta, kryminalistyczna archeologia.

Autor okazał wyjątkowo ciężką rękę. Wszystko tu sumienne, podliczone i wyprane z wrażeń jak uczniowskie wypracowanie. Nawet jakoś mało tego, co sobie u naszych "kryminalistów" zwyczajowo cenimy - szaleństwa wyobraźni, tego spuszczenia stylistyki z łańcucha rygorów. A tu - czytamy jednym okiem, wypuszczamy drugim. Nic się nam w zwojach nie odkłada. A i czas lektury biegnie jakoś ociężale. Poczytamy dwie stronicie i biegniemy podlewać kwiatki, albo podrzucić karmę kotu lub nastawić zmywarkę. Nic nas przy tekście nie trzyma.

Śledztwo ma jednak swoje rumieńce. Milicja bezbłędnie typuje wyjątkowo rzadką afrykańską truciznę, a nie jakieś tam banalne zasląbnięcie. Polska szkoła toksykologii to nie w kij dmuchał. Toksykolog, współpracujący z milicją, ma zresztą szczytowe rekomendacje: "Kapitan miał okazję poznania go wcześniej, podczas głośnej przed dwoma laty sprawy zatrucia lodami na kolonii młodzieżowej w Wawrze". Po afrykańskiej truciznie następuje "szczęśliwa śmierć". Ciekawe. To coś jak "złoty strzał", czyli przedawkowanie. Takie zejście teraz w kryminałach spotykamy bez porównania częściej. Ale za PRL-u więcej było w Polsce unikatowych, afrykańskich grzybków niż heroiny, więc kierunek fabuły jak najbardziej słuszny. Mamy też na osłodę scenkę z centrali wywiadowczej w Hamburgu. Zaszła tu sytuacja (poczytajmy!) kompromituje i pogrąża szpiegów Zachodu. Mniejsza o to, że pracują cynicznie, za judaszowe srebrniki, ale oni się niehigienicznie pocą. A tego czytelnik nie przebaczy.

Więc obyczaj. Polska handlująca kombinuje, gdzie się da. Nawet w kabinie pilota. Jeden z nich ubolewa (szczerze?). "Turyści mają często prośby, trudne do spełnienia przez pilota, bez naruszenia jego etyki zawodowej. Proszą o radę, jak i gdzie mogą sprzedać przedmioty przywiezione z kraju bądź kupić tanio i pewnie złoto na przykład. Nagabują o pomoc w przewiezieniu tych rzeczy przez granicę, pytają, jak je ukryć przed celnikami i o różne, podobne sprawy. A w ogóle, to wielu z nich uważa pilota za obrotnego przemytnika, kombinatora i specjalistę od różnych nieczystych interesów". I pomyśleć - tak nikczemnie szkalować ludzi poza wszelkim podejrzeniem?! A propos wyjazdów. Turystka wykupiła wycieczkę do Bułgarii za dwie roczne premie. A tak w ogóle to pierwszy raz za granicę wyjechała po pięćdziesiątce. I była zadowolona. Nie to, co teraz. Fruwają na safari do Kenii i jeszcze im mało.

Twórczej stylistyki co kot napłakał. Prawie nic do wyhaczenia. Pytania wykluczające: tak, nie. Protokół w czystej postaci. Leci to jak woda w klozecie. O nic zaczepić, niczego nie zacytować. "Zaczęli spacerować brzegiem morza, prowadząc nadal ożywioną rozmowę". Czy tak by to brzmiało we wspomnieniach atrakcyjnej pani? "Morza szum, ptaków śpiew...". "Prowadziliśmy ożywioną rozmowę?" Tak raczej piszą stażyści dziennikarscy, stare polonistki, najwyżej. Ale jak inni mało i nudno gadają, to za nich robi obywatel kapitan. Pyta dajmy na to: "Pan, inżynierze, obserwował Nowicką na wczasach, czy tak?". Jaka powinna paść odpowiedź? "Obserwowałem tak", oczywiście. I to ma następstwa. Kapitan poczęstowany papierosem: "Dziękuję — nie palę podczas upałów". Kawalek dalej wydaje komendę: "Zaprzestać czynności". Jakich - nie podano. Ale polecenia z rozpędu wydaje również sam sobie: "Tylko spokojnie, kapitanie — mruknął sam do siebie". Nic dziwnego, że słowa oficera MO piorunują: "Słowa kapitana zrobiły na niej wrażenie. Zaczzerwieniła się i opuściła głowę". A teraz coś o utrzymankach. Czytamy: "inżynier Kicki, starszy, tęgi, świetnie utrzymany mężczyzna". Nieco dalej podobnie: "starszy, niewysoki, dobrze utrzymany pan". Z tego, co kojarzymy, "dobrze utrzymany" to może być pies, koń albo ogród, dajmy na to. Ale kto by "utrzymywał" "starszego pana"? Ale domyślamy się, o co chodzi. Że, mianowicie, dobrze się trzymał. Niby to samo, a jednak. I skrzydlate słowa: „Życie przynosi ciągle tyle niespodzianek i co najgorsze przeważnie bolesnych". Jakbyśmy słuchali "Matysiaków", a bliżej nas - "Rozmów niedokończonych".

Już miałem na koniec znowu ponarzekać, że czytanie tej "Ewy..." było po nic, a tu widzę wypowiedź sądowego anatoma: "Jak to zwykle bywa, okrutny los prześladowuje najczęściej dobrych ludzi." Bezcenne. Teraz przynajmniej wiem, dlaczego los wziął się właśnie na mnie.

